

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 50 zł.

1/2 „ — 25 „

1/4 „ — 13 „

1/8 „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

O wolność Kościoła.

Grzmiać nieustannie na Z. S. S. R., który przeprowadził już w olbrzymiej skali zasady nacjonalizacji i socjalizacji przeróżnych dziedzin życia tak indywidualnego, jak zbiorowego, prawie cała prasa polska zmierza dziś, prosto a wyraźnie, do zniewolenia Kościoła u nas. Niesławny prym w tym procederze przysługuje, oczywiście, endecji, pracy, oddawna a konsekwentnie, ku temu, by Kościół stał się u nas jedną z funkcji nacjonalizmu polskiego i znalazł w niewolniczej dlań służbie państwowości polskiej *jedyną* rację swego bytu. Nacjonalistom polskim nie można tu odmówić swoistej logiki, pozostali bowiem najzupełniej wierni doktrynie *egoizmu narodowego*, jaką głosili już przed laty w swych pismach Popławski, Baliński i in. twórcy nacjonalizmu polskiego.

Charakterystyczny fakt ogłoszono swego czasu w pierwszym bodaj numerze „Warszawskiego Dziennika Narodowego”, gdy zdawano sprawę, jak w ciągu jednej nocy, administracja i ekspedycja tego spadkobiercy „zärzniętej” „Gazety Warszawskiej” przepisały tysiące adresów nieboszczki. Właśnie podczas tej pośpiesznej nocnej pracy, jakaś piszcząca na maszynie dzierlatka odezwała się na głos w te słowa: *A ja mam adresy samych księży!...*, co redakcja uważała za słuszne nazajutrz już podać nie bez kozery do wiadomości całej Polski. Chociaż nikt nigdy nie wątpił o tem, że właśnie tak jest, jak owa panienka stwierdziła, pożytecznie jest zawsze zapamiętać sobie taki fakt.

Katolicyzm nasz ma wprawdzie pobożnych a ruchliwych biskupów, *brak mu natomiast zupełnie wodzów*. Świetnie, po mistrzowsku umie wykorzystać ten stan rzeczy endecja, która jest w swym programie jasna, zwarta a bezwzględna. Wie doskonale

czego chce i jak ma iść do celu, przyczem pozbawiona jest wahań i skrupułów, czego, oczywiście, nikt nie będzie twierdził o reprezentantach jeśli tak można się wyrazić, myśli katolickiej w Polsce. Nie może tedy być dwóch zdań, że zawsze w takim wypadku wygrywa ten, co ma w ręku jakiś program działania, przegrywa zaś, kto chociaż patrzy na same gwiazdy pierwszej wielkości, nie ma jednak dostosowanego do potrzeb chwili bieżącej programu realnego lub, co na jedno wychodzi, dopiero uzgadniać go musi wzniosłą już z natury swej ideologią chrystjanizmu. Katolicki *modus vivendi* w każdej sprawie, to wyczyn naprawdę niezmiernie trudny, jako przerastający siły i możliwości socjologa, kanonisty, teologa., wziętych tak pojedynczo, jak razem. By temu podolać, trzeba być ponadto prorokiem, wieszczem, jasnowidzem..., tj. metafizykiem.

Nacjonalizm jak żmija samym wzrokiem już obezwładnia, unieruchamia upatrzoną na pożarcie ofiarę. Katolicyzm polski w chwili obecnej szczególnie ulega magnetyzującym ślepiom nacjonalizmu, jakie obrały go sobie za najpożądaną ofiarę.

Innemi tylko drogami, lecz ku *temu* celowi, zmierza również sanacja, dla której Kościół wydaje się zawsze niedość jeszcze patriotycznym, ofiarnym, państwowotwórczym, bojowym... Jeśli endecja kroczy niedwuznacznie ku temu, by Kościół stał się tylko funkcją nacjonalizmu polskiego, to sanacja akurat tak samo steruje w kierunku przetworzenia Kościoła w jedną z funkcji państwowości polskiej i upatruje w tem szczytowe jego u nas zadanie.

Co więc lepsze: nacjonalizm totalny czy statolatryja? *Ambo meliores*. Obie możliwości są równie złe, bo niosą Kościołowi niewolę duchową, której nie osłoda mu nigdy ani zapewnienie renty państwowej, ani gwarancja nietykalności posiadłości ziemskich, ani nawet zachowanie nauczania religii w szkołach. Zatrutego nacjonalizmem lub statolatryją

ducha katolickiego nie zrekompensują te dobrodziejstwa i przywileje. Jeśli wieszczę narodowi rozrywali swe szaty, z powodu zatrucia ducha narodu, to czyż ci, którzy—bądź najwyżsi strażnicy, bądź zwykli szeregowcy—poczuwają się do odpowiedzialności za ideologię katolicką, mogą dość obojętnie lub tylko biernie przyglądać się orgjom nacjonalistycznym, jakie się wyprawia,—dosłownie i przenośnie—już nie tylko w przedsionku, lecz niemal w samym przybytku kościelnym, gdzie ambona i nawet konfesonat służą zgodnie dziełu wynarodowienia mniejszości, antysemityzmowi i propagandzie najgorszej ciasnoty, bo ciasnoty ducha, tak obcej uniwersalizmowi nauk, Chrystusa?!

Czy jeszcze niedość katolicyzm polski wynarodowił przez tyle wieków Litwinów, Białorusinów, Ukraińców? Przecież ksiądz polski pracował tu niezmordowanie od w. XIV, i, jeśli nie zdążył nauczyć ludu dobrze katechizmu i wytępić najpotworniejszych zabobonów, to potrafił wbić w ciemne a zahukane łepetyny tutejsze, że polskość a katolicyzm to najzupełniej jedno! Inny byłby wygląd naszego kraju, gdyby Unja Brzeska nie była tym polskim traktem, który swą orkę ziem ruskich *ad usum Poloniae* nie posunął aż po Berezynę i Dniepr i dalej jeszcze. Dziś mimo wszystko, z całym bezdennym cynizmem, głośno się twierdzi, że Unja jednak nie spełniła *swego* zadania, nie urzeczywistniła bowiem pokładanych w niej nadziei, pozostawiając jeszcze kilka niewynarodowionych milionów Białorusinów i Ukraińców!

Przyznajcie się lepiej wy wszyscy, co tak myślicie, mówicie i piszecie, że Unja Brzeska była tylko zręcznym posunięciem polskiej polityki nacjonalistycznej, jednym z przejawów polskiego *Drang nach Osten*, narzędziem imperjalizmu polskiego, i niczem więcej. I nie nazywajcie siebie katolikami!...

Grek.

W „Kurjerze Wileńskim” p. Topór-Wąsowski zamieścił artykuł, pochwalający zamierzenia nowego rządu, skierowane przeciwko niesprawiedliwemu uprzywilejowaniu pod względem materialnym licznych jednostek, zajmujących nieraz po kilka dobrze płatnych posad państwowych.

Polemizując z tym artykułem p. Cat w „Słowie” wytyka „Kurjerowi Wileńskiemu”, że właśnie w grupie demokratycznej nie brak ludzi, którzy otrzymują więcej niż jedno uposażenie z funduszy państwowych, będąc posłami lub senatorami i zajmując jednocześnie stanowiska w instytucjach rządowych.

Pogląd p. Cata na mandat poselski (względnie senatorski) jako na *posadę*, jako na zajęcie zarobkowe jest niezmiernie charakterystyczny i jest odbiciem tej roli, jaką od dłuższego czasu spełnia w Polsce Sejm i Senat. Zdajemy sobie teraz sprawę, że zawód, jaki spotkał p. Catą przy ostatnich wyborach, musiał dotknąć go podwójnie boleśnie.

Polemika.

Udzielając gościny w naszym piśmie głosom panów A. B. i H. B. zastrzec się musimy, że czynimy to w drodze wyjątku, nie sądząc bowiem, aby „Przegląd Wileński” był odpowiednią trybuną dla porachunków wewnętrznych między dwoma odłamami myśli politycznej białoruskiej. Uważając poruszoną we wspomnianych artykułach kwestję za dostatecznie wyjaśnioną, na tem polemikę zamykamy.

Red.

I

Chybione troski.

W „Przeglądzie Wileńskim” z dn. 13.XI r. b. p. H. B., po kilku uwagach o fakcie nieobecności w dzisiejszym Sejmie Polskim przedstawicieli mniejszości narodowych o kierunku niezawisłym od czynników rządowych, a w ich liczbie i Białorusinów, porusza sprawę potrzeby konsolidacji społeczeństwa białoruskiego. Czyni to jednak w sposób zbyt jednostronny i nie odzwierciedlający pod tym względem istotnego stanu rzeczy wśród tegoż społeczeństwa. P. H. B. przedewszystkiem oskarża Białoruski

kiemi wyjątkami—dotychczasowych zebraniach rodzinnych, pardon, towarzysko-literackich wileńskich literatów, snobów, starszych pocziwych pań i paru młodocianych entuzjastów oraz o tem wszystkim, co się tam, i dokoła, i poza temi zebraniem święci, wyświeca, kręci i robi. Robi się jednak bardzo niewiele. Za to mówi się o tem, co się rzekomo robi o wiele za bardzo.

Cale to zjawisko nosi erwuzaistyczne miano ruchu kulturalno umysłowego miasta Wilna. „Erwuza” i styczne ugrupowania koteryjno-towarzyskie, czyli Rada Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, która w swoim czasie nie mało hałasu a i pojęciowego chaosu narobiła swemi extra ordynaryjnemi pomysłami, pozostałami jak dotychczas w wyższej sferze marzeń wybrańców i opatrnościowców miasta, w wyższym wzmiarkowanym ruchu kulturalnym prym dźwierać pragnie niepodzielnie.

Ambicja to rzecz chwalebna. Komu dużo dano, od tego się dużo wymaga. To znaczy: wielkie pretensje muszą mieć jakieś pokrycie i uzasadnienie,

Teatr wyobraźni.

Dzieje się to raz na tydzień, w środę, albo i rzadziej. Jeśli dochodzi do skutku, wtedy „punktualnie o godz. 8 ej wieczorem” w murach po-Bazylijskich w t. zw. Celi Konrada, siedzibie Związku Literatów zapalają się pokryte batikami lampioniki i w atmosferze buduarowo przyćmionego światła odbywają się chińskie ceremonie ugrzecznionych wzajemnych adoracji tudzież nieodzowna celebrowanie na manierę *five o'clock* u nieśmiertelnej szklanki herbaty z nieodłącznym ciasteczkiem. Każde takie zebranie nazywało się „Środa literacka”. Z biegiem czasu przymiotnik gdzieś się zapodział i pozostał tylko rzeczownik. Jedną z ostatnich rzeczonych „Śród” otrzymała nadspodziewanie udatną nazwę — „Teatr wyobraźni”. (Chodziło wtedy o dyskusję radiową. Mnie chodzi o dyskusję wogóle). Nomen est omen. Mojem zdaniem tytuł jest świetny, symboliczny i charakterystyczny: daje pojęcie o wszystkich—z malut-

Komitet Narodowy w Wilnie, iż on w r. 1930 odrzucił propozycję wspólnego frontu wyborczego, uczynioną mu przez „jedną białorską grupę polityczną” i że uczynił to rzekomo tylko w imię braterstwa z Ukraińcami, z którymi już był zawarty blok wyborczy, a którzy dzisiaj braterstwa tego zaniechali, tworząc ugodę z rządem polskim. Otóż sprawa ta przedstawia się wcale nie tak tragicznie i wogóle nie tak, jak ją opisuje p. H. B. Istotnie była taka propozycja i Komitet ją odrzucił. Szkoda tylko, że p. H. B. zamilczał przeźornie o tem, jakie to mianowicie białorskie ugrupowanie polityczne ową propozycję Komitetowi uczyniło, to by od razu wyjaśniło całą sprawę. Wyręczamy więc go. Komitet ową propozycję odrzucił, gdyż pochodziła ona od tak zwanego białorskiego „Centrasajuzu” — organizacji wybitnie pro-rządowej, stworzonej specjalnie w celu rozbijania Białorskiego Komitetu Narodowego, jako reprezentanta białorskiej jedności narodowej o kierunku niezależnym od czynników rządowych, oraz do rozluźniania i niszczenia kontaktu moralnego narodu białorskiego z narodami ukraińskim i litewskim. Na czele „Centrasajuzu” stanęli panowie: Antoni Łuckiewicz, Fabjan Akinczyk i Radosław Ostrowski — byli liderzy „Hramady”, którzy po jej sądowym epilogu poszli ręką w rękę z polskim tak zwanym „Bezpartyjnym Blokiem Współpracy z Rządem”. Z organizacją więc, kierowaną obcą Białorusinom ręką i istniejącą dla obcych tymże Białorusinom celów, Białorski Komitet Narodowy na żadne układy iść oczywiście nie mógł i nie poszedł.

Co się zaś tyczy rzekomej zdrady ze strony Ukraińców braterstwa z Białorusinami, dokonanej przez ukraińsko-polską ugodę, to i ta sprawa nie tak znówu się przedstawia, jak ją maluje p. H. B. Front braterstwa białorsko-ukraińskiego złamała jedna ukraińska polityczna grupa, z którą też dzisiaj politycznie Komitet nie ma nic wspólnego, nadal jednak stoi na gruncie braterstwa narodu białorskiego właśnie z narodem ukraińskim i w dalszym ciągu utrzymuje kontakt moralny z ukraińskimi ugrupowaniami, politycznie od sił obcych niezawisłymi.

Dalej p. H. B. przypomina poważne sukcesy Białorusinów podczas wyborów do Sejmu Polskiego w r. 1922 i woła — oto co dała jedność! — Właśnie jedności trzeba i dzisiaj. — Tak, trzeba jedności i jest

ona wśród tych białorskich organizacji i jednostek, które, będąc politycznie niezawisłymi od czynników obcych, uznają Białorskiego Komitetu Narodowego w Wilnie ideowe zasady, łączą się pod jego sztandarem w celu obrony praw narodu białorskiego i w celu koordynowania pracy dla dobra tegoż narodu. Jest więc „Białorusinów jedność”, jak również jest i ośrodek tej jedności w osobie owego Komitetu, zarzucić któremu pewne koła mogą chyba tylko to, iż on nie jest zbiorowiskiem czynników oportunistycznych, jest zaś ogólną narodową reprezentacją związaną najszerzą, ogólną białorską ideową konstytucją. Ale to wszak nie wina Komitetu, lecz właśnie zasługa, w tem nie słabość jego, ale zarówno moc i spoistość, jak też gwarancja bezpieczeństwa od czynników niebiałorskich, które stale dążą do dezorganizacji Komitetu, jego ideowej kompromitacji i całkowitej wreszcie zagłady.

Wreszcie p. H. B. uważa za wskazane mówić o potrzebie — także bliżej nieokreślonej — jedności białorskiej ze względu na Białoruś Sowiecką. Stamtąd bądź co bądź, powiada, idzie i na nas „promieniowanie”, któremu organizowaną jednością białorską łatwiej się „przeciwstawić”. Otóż i tu, moim zdaniem, p. H. B. fałszywie rozumie charakter owego „przeciwstawiania się promieniowaniu” Sowietów. Wszak o ile się łączy — czego widocznie pragnie p. H. B. — czynniki bliskie, delikatnie mówiąc, do sfer rządowych i będą się „przeciwstawiali” Sowietom, to będzie to prowokacja Sowietów, pogłębianiem nieufności i nienawiści wzajemnej Białorusinów w Sowietach do Białorusinów w Polsce i w rezultacie wielką szkodą dla narodu białorskiego jako całości. Tutaj przede wszystkim potrzebny jest kierunek polityczny nie znajdujący się pod wpływem czynników obcych, wrogich narodowi białorskiemu. Wreszcie stanowisko „przeciwstawiania się” Białorusi Sowieckiej, za czem się wypowiada p. H. B., zasadniczo mówiąc, nie jest stanowiskiem białorskim, gdyż takowem byłoby nie tyle „przeciwstawianie się”, ile najbardziej obiektywna krytyka kulturalnego dorobku w Białorusi Sowieckiej i przyswajanie jej dodatnich stron kulturze białorskiej ogólnie narodowej, zasadnicze zaś „przeciwstawianie się” odnosząc do życia politycznego i do podstaw filozoficznych ideologii komunistycznej. Otóż podobne obiektywne

Wejdźmy in medias res. Co więc Erwuzie dano, a czego nie dano, co się wymaga, a czego się nie wymaga?

Zacznijmy od tego ostatniego. Nie wymaga się więc absolutnie, aby stowarzyszenia kulturalne grupowały się na podstawie li tylko osobistych sympatii i wpływów, ani też nie jest żadnem przykazaniem kultury ilością wypitych bruderszaftów spajać (w znaczeniu spoidło, a nie poidło!) organizacje w koteryjki, dla tego i owego może mile, lecz wcale nie niezbędne. W razie bowiem dłuższego stosowania tego, czego się nie wymaga, łatwo mogą „zaistnieć” okoliczności, niesłychanie ułatwiające, co prawda, działalność Erwuzy, nie jest jednak wykluczone, że całe to t. zw. życie kulturalno umysłowe potoczy się po linii nie tyle artystycznej, co arcyistycznej z błędnem kołem kręcenia się za własnym ogonem. Przydałyby się tu od czasu do czasu ostre sztychy w poprzek. Po zlikwidowaniu opozycji Wyszomirskiego, który przez długi czas zaciekle i nieustępliwie wpychał kij w mrowisko, obecnie zaś rzucił świat zaułków wileńskich,

jest to tembardziej groźne, że ukształtował się, no, powiedzmy wspólny front zawodowych literackich społeczników, o których w ewentualnych sprawozdaniach ze środowych assemblées mówi się familijnie i ciepło: „W sali Związku Literatów sami dobrzy znajomi, życzliwi sobie i zadowoleni”.. Dosłownie. Ja tu jednak nie okażę życzliwości sobie i niech się dzieje wola boska. Zaczynam.

Zagadnienia kulturalnego Wilna i jego roli nie da się zlekceważyć, nie należy go wszakże przeceńnić, zwłaszcza w warunkach obecnych, jak to często się zdarza niektórym optymistom ex officio. Błaga in plus czy in minus jest jednakowo szkodliwa: nie pozwala sprostować skoszlawień, które się już zadowoili i utrudnia ocenę istotnych wartości, które Wilno, mimo twórczego zapалу Erwuzy, jednak wytwarza. Trzeba tylko odnaleźć właściwy ton i w krytyce i w pochwie, a dla zasług i czynów poszczególnych osób czy instytucyj odnaleźć należyta hierarchję znaczenia.

To, co się w Wilnie robi w dziedzinie kultural-

stanowisko do Białorusi Sowieckiej mogliby zająć tylko Białorusini politycznie czysti.

Słowem, żale p. H. B. na rzekome rozproszkowanie się społeczeństwa białoruskiego, troski o białoruską jedność, oraz jego obawy o przyszłość narodu białoruskiego są chybione i płonne.

A. B.

II.

Czyści i nieczyści.

Autor artykułu „Chybione troski”, stanowiącego odpowiedź na mój artykuł p.t. „Poza parlamentem”, zamieszczony w „Przegl. Wil.” z dn. 13 listopada r. b., zawiera tyle nieścisłości, że w imię prawdy konieczne jest ich sprostowanie natychmiastowe.

1. *Odnosnie do sprawy niedoszłego jednolitego wyborczego frontu białoruskiego w roku 1930 i roli w tem „Centrosojuzu”.*

Już samo zakwalifikowanie „Centrosojuzu”, jako „organizacji wybitnie prorządowej, stworzonej specjalnie w celu rozbijania Białoruskiego Komitetu Narodowego i t. d.”, jest zupełnie dowolne i niezgodne z istotnym stanem rzeczy. O „rozbijaniu Biał. K-tu Narodowego” nie mogło przy narodzinach „Centrosojuzu” w roku 1929—30 być mowy, gdyż już w roku 1926 *dokonała tego Chadecja Białoruska*. Ponieważ w okresie Hromady „Białoruski Komitet Narodowy”, jednoczący podówczas wszystkie ugrupowania białoruskie, był pod przemożnym wpływem „hromadowców”, orjentujących się na Mińsk, pozostająca w mniejszości Chadecja, orjentująca się na Zachód, postanowiła Komitet rozbić. Korzystając z okoliczności, iż Komitet od dłuższego czasu się nie zbierał, Chadecja i jej sympatycy zwołali poza urzędową siedzibą K-tu swoich w nim reprezentantów i zgromadzenie to proklamowali bezprawnie jako zebranie prawomocne Komitetu, wybierając prezydium K-tu. Przy dawnym Komitecie pozostała większość społeczeństwa — prohromadowska. Powstał spór o prawo nazwy. Stary Komitet zaprotestował przeciwko „dublowaniu” K-tu przez Chadecję wobec władz nadzorczych. Ostatnie jednak w sprawie tej nie ingerowały, uważając najwidoczniej za dogodne istnienie sporu wewnętrznego w społeczeństwie białoruskiem.

Po rozgromie Hromady i procesie jej przewodców, instytucje kulturalno - oświatowe prohromadowskie (w tej liczbie prywatne gimnazja białoruskie, podówczas jeszcze istniejące) zjednoczyły się pod hasłem odseparowania się od niebezpiecznej dla ich istnienia polityki i dobijania się niezbędnych dla nich środków materialnych od państwa polskiego, pobierającego olbrzymie sumy podatkowe od ludności białoruskiej. Instytucje te, uważając, że mają na pomoc państwa całkowite prawo, zerwały z praktyką szukania środków gdzieindziej. Przytem instytucje te odrazu rozpoczęły walkę bynajmniej nie z Chadecją i jej emanacją — nowym „Biał. K-tem Narodowym”, lecz z grupami t. zw. „komunizującymi” („Zmahańnie”), które pragnęły wyzyskać instytucje i stowarzyszenia kulturalno oświatowe dla celów ściśle politycznych.

Z „Blokem Bezpartyjnym współpracy z rządem” nie pozostawał „Centrosojuz” w żadnych stosunkach, — wbrew twierdzeniom p. A. B. Podczas wyborów „Centrosojuz” przeciwstawiał się stanowczo „B.B.”

Nieprawdą jest również, iż chadecka edycja „Biał. K-tu Narodowego” na żadne pertraktacje z „Centrosojuzem” w sprawie jednolitego frontu wyborczego nie poszła. Owszem: poszła i dłuższy czas pertraktowała, przyczem „Centrosojuz” był reprezentowany przez p. F. Akińczyca, późniejszego członka tegoż chadeckiego „Biał. K-tu Narodowego”. Pertraktacje z „Centrosojuzem” ten „Komitet” przewlekał, a jednocześnie, samodzielnie i w kompletnej tajemnicy od społeczeństwa białoruskiego, układał się z Ukraińskim Komitetem Wyborczym (kierowanym, *nota bene*, przez ugodowe dziś Undol!) i wy mógł na nim jedno z czołowych miejsc na białorusko-ukraińskiej liście państwowej dla p. Jaremicza, bynajmniej nie cieszącego się zaufaniem całego społeczeństwa. Dopiero po zakończeniu tej tranzakcji politycznej, gdy o jakichkolwiek zmianach w składzie osobowym na liście państwowej ze względów technicznych nie mogło być mowy, „Biał. K-t Narodowy” zaproponował „Centrosojuzowi” zjednoczenie akcji wyborczej na zasadzie aprobaty zawartego z Ukraińcami bloku i zachowania krzesła poselskiego dla p. Jaremicza. Uważając postępowanie „B. K-tu Nar.” za nielojalne, „Centrosojuz” w ostrej

nej, nie wszystko tchnie partykularzem, ale też nie wszystko, co się chwali w imię tego, że to „nasze, swojskie, tutejsze” jest na poziomie godnym pochwały. A przytem zdarza się tak, że nie sposób odgadnąć, czy się chwali dlatego, że ma być rzekomo autentycznie wileńskie, czy też stempel *made in Vilna* przyklepia się po to, żeby chwalić.

Jest jedna rzecz, która uderzy każdego obserwatora. Jeśli ten pozwoli sobie na odwagę samodzielnego myślenia i szczyptę krytycyzmu, zaprawionego nawet odrobiną niezłoshiwej ironji. Razi mianowicie każdego owe zachłystywanie się wodnistą frazeologią, wzajemne otaczanie się kłębami koterijno-towarzyskich kadzidel, przysłaniające jak dymna zasłona, istotną pustkę i właściwe *kollektywne nieróbstwo* o pozorach aktywności, przy jednocześnie bujnie rozwiniętej wyobraźni, karmiącej się iluzją i przeświadczeniem rzekomego własnego posłannictwa kulturalno-społecznego.

W swoim czasie to pragnienie kulturtregerstwa było tak silne, że pokonało trudności braku odpo-

wiedniej organizacji. Stwierdzono, że dotychczasowych związków jest za mało i raźnie przystąpiono do dzieła.

Płynęło sobie wtedy w Wilnie życie spokojnie, niczem nie zakłócanie, mało na świecie wiedziano, co się dzieje w cichych zaułkach miasta. „Powołanie do życia” nowego stowarzyszenia nie tyle daje świetną okazję do istotnej pracy, co skłania do „żywienia wielkich nadziei”, składania życzeń „realizacji szczytnych zamierzeń”, płyną kaskady grandilokwencji i to wszystko siako tako nie jest bez znaczenia, bo od biedy markuje ruch. W ten sposób powstała Rada Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych. Założona z inicjatywy Wil. Związku Literatów, składa się ze stowarzyszeń kulturalno-artystycznych Wilna: Towarzystwa Artystów Plastyków, Tow. Bibliofilów, Zw. Art. Scen pol., Tow. Krajoznawczych, Stow. Architektów, Tow. Muzyki współczesnej no i wspomnianego Związku Literatów, jako głównej ozdoby, filaru i cementu. Wszystkie te stowarzyszenia, biorąc je osobno, mają swoje zadania i cele i niewątpliwie spełniają je w spo-

formie zaprotestował przeciwko temu, stanowczo odrzucając zaaprobowanie zawartego w ten sposób białorusko-ukraińskiego bloku.

2; *Oдноśnie do roli obecnej „Białor. K-tu Narodowego”*, rzekomo reprezentującego całe społeczeństwo białoruskie, politycznie niezawisłe od sił obcych.

I tu p. A. B. rozmija się z prawdą. Już podana powyżej historia powstania chadeckiego „Biał. K-tu Narodowego” mówi o tem najdobitniej. „Komitet obecny *nie* jest bynajmniej tem, czem był w r. 1922. Nie objął on całej lewicy społecznej, a i reprezentacja prawostawnej prawicy (b. sen. Bohdanowicz z towarzyszami) ostatnio usunęła się z „K tu” ze względów społeczno-moralnych. Prawda, po usunięciu p. F. Akińczyca z „Centrosojuzu” i opublikowaniu przez niego szeregu paszkwilów przeciwko p. p. Taraszkiewiczowi i Łuckiewiczowi (ostatniemu zarzucał wrogi stosunek do państwa polskiego...), pan ten zgłosił akces do „Komitetu”, lecz i tam nie zagroził dłużej miejsca. Usunięty został z „Komitetu” i p. F. Jaremicz — reprezentant efemerycznego w końcu „Sielańskiego Sojuzu”, który dawno żywot swój zakończył. Jedynym nowym nabytkiem Chadecki w „Komitecie” jest grupa embrjonalna białoruskich „Nazi”, żadnego jeszcze wpływu na społeczeństwo tymczasem nie posiadająca.

3. *Oдноśnie do dzielenia Białorusinów na „czystych” i „nieczystych”*.

Podobny podział Białorusinów przez p. A. B. jest zupełnie dowolny i powstać mógł chyba tylko z zaciętrzewienia partyjnego lub — pomieszczenia pojęć. Wiadomem jest bowiem, iż społeczeństwo białoruskie, jako całość (oczywiście, poza nielicznymi wyjątkami), *hołduje zasadniczo idei niepodległościowej*, lecz poszczególne grupy rozchodzą się ze sobą w *taktyce*. Jedni uważają, iż droga do niepodległości prowadzi przez Mińsk (w warunkach dzisiejszych czytają: Moskwę), inni — przez Warszawę, inni jeszcze — przez Kowno lub inaczej. Czemu ta lub inna *orientacja taktyczna* ma być „czystą” lub „nieczystą”, trudno zrozumieć. Ze stanowiska niepodległościowego należałoby raczej wszystkie te orientacje uznać za *równie chorobliwe* czy — podług terminologii p. A. B. — za „nieczyste”. I w społeczeństwie białoruskiem coraz silniejszym staje się *prąd, dążący do całkowitego wyzwolenia się od „choroby orientacyjnej”*.

nej”. Prąd tej obejmować zaczyna już nawet sfery chadeckie! Oczywiście, nie dotyczy to przewodców Chadecki, jako „nieuleczalnie chorych” i uznających „orientację” za kanon polityczny”.

4. *Oдноśnie do interpretowania przez p. A. B. mojego artykułu, z którym polemizuje.*

W artykule tym mówiłem najwyraźniej o potrzebie przeciwstawienia się promieniowaniu z Mińska tej „białoruskiej” kultury, która jest białoruską tylko co do formy i „proletariacką” co do swej istoty treści. Wskazywałem na konieczność stworzenia na Białorusi Zachodniej ogniska kultury białoruskiej — i co do formy, i co do treści *narodowej* i „przeciwstawienie się” rozumiałem właśnie w tym sensie pozytywno-twórczym. Mój oponent słowa i myśl moją złośliwie zniekształcił, by wyciągnąć z nich dowolne wnioski. Przeciwko tej metodzie muszę stanowczo zaprotestować.

H. B.

Niezupełnie tak.

„Słowo” w jednym z ostatnich numerów zamieściło urywek ze wspomnień p. Michała Sokolnickiego, obecnego posła polskiego w Danii o jego pobycie w Wilnie w lutym 1913 r. Pamięć najwidoczniej zawiadła autora, to też relacja jego niezupełnie jest zgodna z rzeczywistością.

Pomijam drobne i nie mające znaczenia nieścisłości, jak np. zamieszkiwanie u mnie, (w istocie p. Sokolnicki lokował się u mego brata), udział Ruszczyca w organizowaniu zebrania w klubie Bankowym, obecność na niem „kilku poważnych i czczonych powszechnie powstańców z 63 r.” (?) i t. p. Można również przejść do porządku dziennego nad ogólnymi wrażeniami p. Sokolnickiego z poznania Wilna, w które fantazja autora wplotła szereg rażących szczegółów, w rodzaju trwającego zakazu mówienia po polsku na ulicach miasta (w 1913 r.!) lub twierdzenia, że „Żydzi utworzyli ostoję legalizmu i lojalności”. Tego rodzaju spostrzeżeń i wiadomości nie mógł p. Sokolnicki wywieźć wtedy z Wilna, musiał je zaczerpnąć później z innych źródeł, przyczem chronologia spłatała mu figla.

Ale opis wizyty u mec. Tadeusza Wróblewskie-

sób dla siebie i dla Wilna najbardziej pożyteczny. Wszakże wszystkie razem wzięte nie robią nic, bo robić nie mogą, są firmą osobistych ambicji; połączone w jeden związek związków zatraciły swoje własne zadania i stały się fikcją, stały się Erwuza. Przypuśćmy jednak, że Erwuza wypełniona była najlepszymi chęciami.

Czem, jaką pozytywną trwalszą pracą może się wykazać po kilku latach swojej egzystencji? Ostatecznie przecież nie zrobiono nic. Zaaranżowany przeszło przed rokiem „Zjazd Żołędzi” rezultatów nie przyniósł, prowincji kulturalnie nie podniósł, najszerzych mas do cywilizacji nie zbliżył. Jest, jak było.

Nie ustają natomiast auto-deklamacje o wciągnięciu w orbitę kultury polskiej szerokich mas „kraju tutejszego”, o pracy w utrwalaniu i ugruntowywaniu kultury wśród szerokich biernych mas społecznych...

Miał to tego. W swoim czasie powiedziano nawet, że „Erwuza tkwi głęboko w samym środku palących wschodnich zagadnień”, propaguje polską sztukę

i literaturę, rozpowszechnia kulturę wśród najszerzych warstw społecznych kraju, a cała praca Erwuzy ma mieć „charakter pogranicznego strażowania na wschodnim bastjonie”.

Jedno z dwojga: albo chodzi poprostu o omanienie siebie i innych, albo doprawdy zatraciło się kompletnie poczucie rzeczywistości. „Sam środek palących wschodnich zagadnień!” W ostatnich czasach było ich trochę, tych zagadnień. Erwuza nie tylko nie znajdowała się w samym środku, ale nawet nie otarła się o nie. Oto, rzeczywiście krzywdząca sprawa Naroczy, oto istotnie paląca wstydem i bólem sprawa Łukszy... Co zrobiła w tych sprawach Erwuza, albo przynajmniej kto z literackich społeczników coś próbował w tych sprawach działać, okazywał publicznie przynajmniej zainteresowanie? I niech mi tu nikt nie mówi, że to są sprawy nie mające nic wspólnego z zagadnieniami kulturalnymi.

Literatura dzisiaj to nie jest pamiętnik romantycznej pensjonarki, literat istotnie powinien tkwić „w samym środku palących zagadnień”. Kultura to

go wymaga sprostowania bardziej dokładnego. Redakcja „Przeglądu Wileńskiego”, która zaprosiła p. Sokolnickiego do Wilna w celu poinformowania miejscowej inteligencji o ruchu strzeleckim, rozwijającym się wówczas bujnie na terenie galicyjskim, zorganizowała dość liczne zebranie w Klubie Bankowym, na którym przeważały kobiety, młodzież i wogóle żywiły zapalne, nic też dziwnego, że p. Sokolnicki odniósł zeń wrażenie jaknajbardziej dodatnie.

Pragnąc jednakże zetknąć p. Sokolnickiego z przedstawicielami i wyrazicielami opinii miarodajnej dla ówczesnego Wilna, zaprowadziłem go na zebranie „Szubrawców” do mieszkania mec. Wróblewskiego. P. Sokolnicki wspomina wyłącznie o rozmowie z gospodarzem mieszkania, była ona jednak tylko fragmentem ogólnej dyskusji, która wynikła po długim referacie gościa. Nietylko mec. Wróblewski, ale niemal wszyscy obecni odnieśli się do uczuciowych wywodów p. Sokolnickiego z wielką rezerwą. Mówca nie porwał zebranych swym entuzjazmem, nie potrafił natchnąć ich wiarą w powodzenia zbrojnego czynu. Przyjęto propagandowe expose p. Sokolnickiego z wyraźnym sceptycyzmem.

Gdy większość oponentów jednakże wychodziła z założeń polityki realnej i przeciwstawiała się hasłom i poczynaniom strzeleckim ze względów raczej oportunistycznych, Wróblewski wystąpił z krytyką działalności Piłsudskiego z punktu widzenia ideowego. Był on sympatykiem lewicy P. P. S. (nie S. D. K. P. i L., jak sądzi p. Sokolnicki) i w myśl zasad programowych tej partii nie mógł pochwalać dążeń niepodległościowych o charakterze militarystycznym. Dlaczego Wróblewski wydał się p. Sokolnickiemu „ucieleśnioną wschodnią marą” — tego objaśnić nie potrafię. Zresztą, o ile sobie przypominam, p. Sokolnicki, dzieląc się zemną po wizycie u „Szubrawców” swemi wrażeniami, oceniał mec. Wróblewskiego wówczas całkiem trzeźwo, poprostu, jako człowieka innych przekonań, z innego obozu. Po dwudziestu latach postać wybitnego prawnika i działacza w umyśle pamiętnikarza nabrała jakichś cech niesamowitych.

I jeszcze jedno sprostowanie. Wyliczając rzekomych organizatorów zebrania w Klubie Bankowym p. Sokolnicki wymienia Michała Römera, „co będąc litwomana, sprzyjał jednak jakby pomimowoli naszym działaniom”.

Otóż Michał Römer organizowaniem wspom-

nianego zebrania się nie zajmował, będąc jednak bliskim współpracownikiem „Przeglądu Wileńskiego” do polskiego ruchu niepodległościowego odnosił się z sympatią, bynajmniej nie *pomimowoli*, lecz najzupełniej świadomie, czego dowodem najlepszym jest jego późniejszy udział w legionach. Stanowisko to nie było w sprzeczności z jego patriotyzmem litewskim i miano „litwomana”, którego użył p. Sokolnicki, jest takim samym anachronizmem, jak zakaz mówienia po polsku na ulicach Wilna w okresie, gdy tu funkcjonował teatr polski, wychodziły liczne pismapolskie i wiele sklepów posiadało szyldy polskie.

Licz.

FELJETON.

Sankcje.

Jak to dobrze, że nastała moda na te „sankcje”. Dawniej, gdy ktoś co przeszkrobał, to mu łupnęli dwa czy pięć lat ciupy i w porządku. Odsiedział jak Bóg na niebie, o ile go nie zwolniła jaka amnestja. Ale znalazł się taki „Italjaniec” *Enrico Ferri*, który powiedział: — karać może tylko Pan Bóg, bo On jest od tego, a ludzie powinni stosować tylko sankcje — prewencyjne, dydaktyczne, poprawcze i izolacyjne. Od tego czasu zaczęły wchodzić w modę właśnie owe sankcje. Mussoliniego nietrzeba wcale karać, lecz należy go tak „usankcjonować”, żeby nie mógł ruszyć ani nogą ani ręką. I wówczas będzie posłuszny nakazom Ligi Narodów (czytaj Wielkiej Brytanji), jak baranek.

Witam tę modę z uznaniem. Chciałbym tylko, żeby się przyjęła i u nas. Ale kogo należałoby u nas sankcjonować?... Pragnąłbym o tem pomówić, choć trochę się boję, aby te „sankcje” nie zwróciły się ostrzem swoim przeciwko mnie samemu, a zwłaszcza przeciwko pismu, które użycza mi gościny. Nie bardzo chcę ryzykować, bo... „któż zbadał biur starostwa przepastne krainy”?... Dlatego, pragnę umówić się z czytelnikami: czytajcie tylko między wierszami, jak to za dawnych dobrych przedwojennych czasów bywało. W ten sposób unikniemy konfiskaty, a czytelnik i tak będzie wszystko wiedział. Bo za to, co jest między wierszami, a czego w tekście nie ma, konfiskata przecież nie może być nałożona.

jest trochę coś więcej aniżeli środowe nabożeństwa wzajemnej adoracji. Ach, panowie artyści, literaci. Jaki czujny, jaki subtelny, jak dalece delikatny, jakiej dziwnej konstrukcji jest ten sejsmograf waszych dusz, skoro sprawy, o których głośno było w całej Polsce, a które rozgrywały się tuż przy was, na waszem podwórku, nie znalazły dostępu do waszej wyobraźni, nie przemówiły do waszych serc. Tu, w waszem mieście, humanitaryzm został brutalnie podeptany, a wyście się nie zdobyli nawet na to, żeby publicznie zamanifestować swój stosunek do tej bezprzykładnej afery.

Ale zato dość często „w sali Związku literatów sami dobrzy znajomi, życzliwi sobie”, „nastrajają się na ton zwycięsko-radosny”, jak się później wypisuje w sprawozdaniach, ażeby na „miłej uroczystości”, gdzie „wszystko miało zabarwienie rodzinne i serdeczne”, rozwodzić się o „Święcie Wilnian, autentycznych Wilnian, takich, którzy tutaj się urodzili”,

i wysłuchiwać bzdurnych feljetoników (nazwanych notabene, „ciekawym referatem”).

*

Powiedziałem, że tytuł jednej z ostatnich „śródn” brzmiał „Teatr wyobraźni”. To jest nieścisłe. Tak się powinna nazywać nie tylko dyskusja o radju (odbywana notabene przy obecności tużina osób). Ścisłej będzie, jeśli się powie, że wszystko to razem, ta cała Erwuza ze wszystkimi „Środami” to istny teatr wyobraźni. Są to wspaniali artyści, którzy grają tak świetnie i tak są tem przejęci, że nawet im się wydaje, iż spełniają jakąś autentyczną rolę społeczną kulturalną.

Tymczasem jest to tylko gra wyobraźni. Wileński teatr wyobraźni.

K. Mil. N.

Rzecz jasna i zrozumiała, przynajmniej my przedstawiciele pokolenia przedwojennego wzrosliśmy na takich poglądach. A może i pod tym względem coś się zmieniło? Przyszłość pokaże.

Otóż — zasadniczo jestem za sankcjami. Nie mogę jednak pojąć, czemu są one stosowane tylko względem niektórych.

Jeżeli np. architekt opracuje konstrukcję domu i buduje go w ten sposób, że się zawali i pogrzebie w swych ruinach dziesiątek obywateli, to taki architekt zostaje „usankcjonowany” przynajmniej na lat dziesięć. O ile jednak znajdzie się urzędnik, czy grupa urzędników, którzy wykoncypują taką ustawę, której nikt dobrze nie rozumie, w której duszą się miliony obywateli, tracąc daremnie czas, zdrowie i życie na jej wykonywanie, — tacy ustawodawcy otrzymują za swoją działalność nie żadne sankcje, lecz co najmniej awanse i odznaczenia, a w najgorszym razie — „dobrze zasłużone” emerytury.

O ile trafi się urzędnik, który przez przekroczenie władzy lub przez niedbalstwo działa na szkodę interesu publicznego, przyczyniając Skarbowi państwa straty na tysiąc czy kilka tysięcy złotych, za taki wyczyn czeka go sankcja w postaci więzienia lub aresztu. Lecz jeżeli ten urzędnik spowodował dla Skarbu przez złe przemyślane i nieostrożne posunięcia straty, idące w dziesiątki milionów złotych, — wówczas żadne sankcje go się nie mają. Posiada jakiś tajemniczy immunitet, który chroni go od prawnych konsekwencji własnych czynów. Ów potężny dziś człowiek, „pan lasów i puszczy”, — chadza w glorii swych zasług i bardzoby się obraził, gdyby mu kto zarzucił pogwałcenie Siódmego Przykazania. Tylko biedny rybak z nad Naroczy coś niebardzo chce mu ulegać i zaklnie czasem szpetnie pod jego adresem, broniąc swych przez wieki nabytych praw. Ale i ten pewnie ulegnie, bo urzędnik ten posiada w ręku talizman cudowny — dzwonek Loretański. Jak zadzwoni — wszystkie rysie miauczą żałośnie, jak koty domowe, dziki — włązą ze strachu na niebosiężne drzewa, zające chowają się po lisich jamach, a wilki liżą po macierzyńsku jagnięta i ogonem opędzają je od much. I gdzie tu do takiego pana stosować sankcje?...

A jednak mamy tu w Wilnie jeden urząd, którego najsurowsze sankcje nie powinny ominąć. Jeżeli nawet mu się uda uniknąć ich w tem życiu, to w przyszłym czeka go surowa kara. Odcierpi z nią wiązką za wszystko. Urzędem tym jest Dyrekcja Wileńska Polskich Kolei Państwowych. Ta straszna instytucja cierpi na perwersyjną chorobę, znaną w nauce, jako sadyzm. Markiz de Sade — bardzo poza wszystkiem sympatyczny człowiek, dziś już nieżyjący — znajdował, jak wiadomo, specyficzną rozkosz w zadawaniu innym cierpień fizycznych. To go do czegoś tam podniecało. Markiz de Sade umarł. Ale jego chorobliwe narowy żyją. W tej chwili umieszczoły się w Wileńskiej Dyrekcji P.K.P. Instytucja ta, zasługująca skądinąd na wszelkie pochwały i bardzo sympatyczna (M. de Sade był też sympatyczny) tak postawiła sprawę, że większość pasażerów kolejowych, aby dostać się do Wilna, lub stąd wyjechać, — musi przejść przez golgotę jakichś wilgotnych i oślizgłych pieczar czy katakumb, zwanych tunelami. Sześćdziesiąt cztery schody w dół i 64 schody w górę. Bez uciążliwych peregrynacji po tych głębokich podziemiach nie można Wilna zobaczyć, ani też Wilna opuścić.

— Cui bono?... Pytam się Was, Panowie, poła-

cinie, albo: — Po kiego diabła?... pytam się popolsku. Znam waszą odpowiedź. Techniczna niemożliwość. Nieprawda, właśnie, że nieprawda. Odrobina dobrej woli i pociągi odchodzące będą mogły korzystać z pierwszego peronu. Trochę więcej ambarasu dla maszynistów, trochę więcej zachodu dla zwrotnicznych — i wszystko. Powiecie jeszcze: zwiększenie się niebezpieczeństwa. No pewnie, gdyby pociągi wcale nie przychodziły do Wilna, bezpieczeństwo byłoby jeszcze większe. Małoż jest stacyj, nieposiadających tunelów, a jednak wypadków niema i publiczność nie jest nękana bez potrzeb forsowaniem podziemi stacyjnych?...

Panowie z Dyrekcji nie pomyśleli nigdy nad tem, że na setkę pasażerów wypada znaczny odsetek ludzi chorowitych, słabych, dzieci i starców, kobiet ciężarnych, ludzi dźwigających pakunki, podagrycznych, artretycznych, astmatycznych, sercowych, kulejących i t. d., że zmuszanie tych ludzi bez rzeczywistej i rozumnej przyczyny do forsownych wyczynów gimnastycznych po podziemiach utrudnia i obrzydza przyjazd do Wilna koleją. Każdy z takich spoconych i zasapanych pasażerów posyła pod adresem Dyrekcji takie przekleństwa, że od nich mogłyby stopić się szyny kolejowe, ale serca Dyrekcji ani drgnął...

Markiza de Sade usprawiedliwiała poniekąd tą okoliczność, że cierpienia innych sprawiały mu istotną rozkosz i dlatego też były przez niego bezpośrednio obserwowane. Ale panowie z Dyrekcji nawet i tego nie mają na swoje usprawiedliwienie, bo sami nigdy nie chodzą po tunelach, lecz dla nich otwierane są specjalne drzwi, by mogli przechodzić górą, a tylko motłoch pasażerski musi nadwyreżać nogi i krzyże po katakumbach.

Po raz drugi już poruszam ten temat, ale niestety bez skutku. Któż bowiem będzie się liczył z głosem feljetonisty? Nie jestem wszak lordem Edenem i nie mogę grozić sankcjami. Życzę więc Dyrekcji P.K.P., aby w życiu przyszłym nieustannie krążyła od pierwszego peronu do szóstego i spowrotem po tunelach. Niech się poci, niech sapie, niech klnie, to jest niech robi całą wieczność to, co my musimy robić za życia!..

Bolesław Szyszkowski.

Bujna imaginacja.

Prof. M. Limanowski już dwakroć na szpaltach „Słowa” twierdził, że w dawnym Wilnie istniał specjalny kult króla Węgier i Stefana. Raz snuł takie wywody, gdy do Wilna zjechał w odwiedziny poseł węgierski z Warszawy, drugi — świeżo witając przybywającego do Wilna węgierskiego ministra oświaty. W obu wypadkach za punkt wyjścia swych wywodów obrał on istnienie w Wilnie, na dawnym przedmieściu Rudnickiem, napół obronnego kościółka św. Stefana (ongl będącego podmiejskim parafjalnym), który według profesora M. Limanowskiego, wzniesiony został pod wezwaniem Patrona Węgier i ma być, że tak powiem, pomnikiem z kamienia osobliwego kultu mieszkanców Wilna i kraju dla św. Stefana Króla. W ostatnim z dwóch swych „węgierskich” artykułów, autor poświęca tematowi powyższemu coś połowę szpalty i zaznacza z punktu, jak to Wilno wieków ubiegłych, już nie tylko na swym progu, witało każdego przybysza z południa, więc z Polski, Węgier, Siedmiogrodu, Wołoszczyzny..., małą, a kształtną świątynką *Sancti Stephani Regis Hungariae*.

Postać św. Stefana króla jest dla piszącego wcale sympatyczną, a z Węgrami łączą go nici sympatyj z ławy uniwer-

syteckiej, w Insbruku. Włec autor niniejszej notatki chce, w sposób jaknajbardziej bezstronny, zwrócić tylko uwagę prof. Limanowskiego, że wileński kościół św. Stefana został wzniesiony w r. 1600 odrazu już pod wezwaniem św. Stefana, *Diakona i Pierwszego Męczennika* i pod tym tytułem do dziś dnia pozostaje, jak o tem świadczą, poza wszelkimi dokumentami, też umieszczony w ołtarzu wielkim świątyni obraz tego świętego i corocznie uroczyste obchodzone święto tytularne w drugi dzień Bożego Narodzenia.

Można więc mówić zasadnie o istnieniu w dawnym Wilnie kultu św. Mikołaja, św. Jerzego, lecz żadną miarą, nawet dając największą folgę swej sugestywnej wyobraźni, — o kulcie króla Węgier.

Wat.

Quidquid agis... respice finem!

(Korespondencja z Wołkowyska).

Jest miejscowość w pow. Wołkowyskim, która nazywa się Międzyrzecz. Początków jej nikt dotychczas nie wyśledził. Od w. XVII był już tu fundowany przez małżonków Kłoczaków kościół, który jednak w r. 1891 został zabrany na cerkiew. Była to ostatnia kasata i zabór kościoła w kraju. Międzyrzeczanie przed wojną, by zaradzić swej biedzie, wzniesli nową świątynię. Przemieniony na cerkiew dawny kościół przetrwał wojnę światową i pozostał do dziś w ręku dyzunitów, obsługiwany przez dojeżdżającego parocha. Uważany przez katolików łacinników za ich własność prawowitą, pobudzał on już samem istnieniem do starań o rychły zwrot, czemu się przeciwstawiają przedłużające się w nieskończoność pertraktacje komisji mieszanej w Warszawie o wprowadzenie w życie całego konkordatu i zwrot obiektów zabranych. Na podłożu niecierpliwości ludu tamecznego i kleru wydarzył się niedawno tu przykry incydent, którego przebieg był następujący.

W kościele Międzyrzeckim odbywał się fest i nieodłączny z tem napływ ludu, który zawsze trochę upaja obecnym poczuciem siły. Nastrój ten udzielił się widocznie też księżom miejscowym i przybyłym gościom. W takiej chwili zdobyto klucze od cerkwi byłego kościoła. Wnet drzwi cerkwi zostały otwarte, poczem księża z ludem wkroczyli w jej mury. Postawiono po środku świątyni stolik, a na nim krzyż i świec parę. Natychmiast dokonano nieskomplikowanego obrzędu poświęcenia kościoła. Wezbrała fala uczuć radości z rewindykacji dawnego kościoła i doznanego zadośćuczynienia za krzywdę dziejową.

Niestety, szczytowy moment tejeskapady był nader krótki i nic pomyślnego nie wróżył. Istotnie okoliczni prawosławni, spostrzegłszy na co się zanoszą, pośpieszyli powiadomić nieobecnego akurat w domu stróża cerkiewnego, któremu pod nieobecność zabrano jakoś klucze od cerkwi. Wszczął się zaraz alarm. Zadepészowano do rządzącego diecezją grodzieńską Władki Antonjusza, ten do starosty Olgierda Malinowskiego w Wołkowysku. Nazajutrz, gdy już tłum katolików, obsadził od rana swój dany kościół, przybył do Międzyrzecza vicestarosta z oddziałem policji z Wołkowyska i poprosił obecnych w kościele ludzi, by wyszli na cmentarz, gdzie taktownie uspakajał ich, nie przecząc wcale, że b. kościół winienby wrócić do dawnych a prawowitych jego właścicieli, lecz że nie jest właściwą do tego drogą akt samowoli, którego wczoraj się dopuścili Międzyrzeczanie.

Póki przedstawiciel władzy mówił, słuchano go dość uważnie. Skoro jednak skończył, jakiś osadnik wnet zanucił pieśń *Kto się w opiekę* i tłum katolików wrócił w podwoje rewindykowanego kościoła. Wtedy za nim wkroczyła doń policja i usunęła pod grozą pałek gumowych zelantów ze świątyni. Kilku oporniejszych aresztowano.

Tak się przedstawia strona faktyczna w Międzyrzeczu. Gdy w początkach państwowości polskiej na naszych ziemiach stosunki prawne w niektórych dziedzinach były jeszcze płynne, zajścia podobne były zrozumiałe i niekiedy nawet celowe, dziś zgoda innego wymagają one osądu.

Kawalerska fantazja księży rewindykatorów w Międzyrzeczu wygląda w wypadku przytoczonym niepoważnie, zakończyła się bowiem żałośnie, narażając autorytet sług Kościoła na oczywistą kompromitację wobec swoich i obcych.

Przejezdny.

Encyklopedia litewska.

Myśl wydania encyklopedji w języku litewskim ma już swoją historję. Pierwsi rzucili tę myśl, jeszcze przed wojną, pracujący pośród emigracji litewskiej w Ameryce Gabrys i Olszewski. Projekt ten był później przedmiotem namysłów i debat braci Birżiszków i Jaksztasa. Po wojnie ambicje podobne ujawniała spółka wydawnicza *Kultura* w Szawlach. Trzeba jednak było jubileuszu Witolda Wielkiego, by dawna myśl dania narodowi litewskiemu encyklopedji w języku macierzystym mogła się urzeczywistnić. Chciano w ten sposób upamiętnić datę historyczną godnem jej dziełem monumentalnem w zakresie wydawnictwa. Rozejrzano się dokoła, gdzieby znaleźć bazę finansową dla tego olbrzymiego przedsięwzięcia. Stał się nią *Spaudos Fondas* (Fundusz wydawniczy), wielka a prosperująca spółka wydawnicza, będąca w ręku nauczycielstwa litewskiego, acz licząca też w swem gronie pewną ilość nie nauczycieli.

Trudności wielorakie piętrzyły się i były chwile, gdy mało brakowało do całkowitej rezygnacji z zamierzenia. Udało się atoli szczęśliwie je przezwyciężyć. Pozostając do dziś dziełem inicjatywy prywatnej, wydawnictwo przez swych założycieli i kierowników musiało zainteresować i wciągnąć do przedsięwzięcia szereg członków partji rządzącej — tautininków, co zaraz odbiło się na życzliwym ustosunkowaniu się rządu do pięknej sprawy. Gdy rzeczy tak się miały z zamierzoną encyklopedją, Katolicka Akademia Nauk (*Katoliku Mokslo Akademija*) szykowała się do wydania pokrewnego idea dzieła, mianowicie Litewskiego Słownika Biograficznego. Byli też w obozie katolickim ludzie, co woleli raczej encyklopedję niż taki słownik. Groziło więc tem, że litewscy pracownicy naukowci pójdą nie spółem, lecz dwiema drogami, wprowadzając nie wręcz przeciwnymi sobie, lecz prowadzącymi w różnych kierunkach. Przydała się wtedy interwencja rządu, który uwarunkował swą pomoc zgodą obu zamierzeń wydawniczych na jeden a wspólny projekt, jakim jest dzisiejsza *Lietuviškoji Enciklopedija*. Taki jest krótki przebieg genezy jej powstania.

Dziś można już mówić o *czterech* tomach *L.E.*, liczących każdy po stron 1430, bogato ilustrowanych, zaopatrzonych w mapy, diagramy i inne rekwizyty europejskich encyklopedyj. Zapewne wydawcy wertowali wprzód takie dzieła, jak: *Encyclopedia Brit-*

tannica, Larusse, *Konversations lexikon*, *The Catholic Encyclopedia*, Brockhaus i Efrona, Orgelbranda i in., by znaleźć typ właściwy dla *L. E.* Redaktorem naczelnym jej jest prof. Wacław Birżiszka, z którym najściślej współpracują dziś, oprócz braci prof. Michała Birżiszki (autora rekordowej bodaj ilości pozycji w encyklopedji) i prof. Wiktora Birżiszki, również prof. prof. Czesnis, Dovydajtis, Jonynas, Römer i w. in. Zespół różnorodny pracuje dotychczas w harmonji zupełnej; mimo że w dobie ogólnego kryzysu nie obfituje wydawnictwo w gotówkę, posuwa się raźnie praca naprzód. Brakuje jeszcze jednego zeszytu do skompletowania tomu IV, który kończy literę *B.* Wynosząca 7.000 liczba abonentów *E. L.* pięknie świadczy o zrozumieniu przez szeroki ogół litewski doniosłości historycznej tego wydawnictwa.

Rzecz naturalna, że są pewne opuszczenia. Np. Abicht (prof. uniwersytecki wrocławski), Abrajtis, Abrantowicz, Afanasowicz..., Bojko, Bączkowski, Betto, Bobicz, Bochan, Bohdanowicz (b. senator), Bojew...

Jeśli o jakiejś księdze można powiedzieć słowami dawnego ekslibrysu, to zapewne o każdej encyklopedji, a więc i omówionej wyżej: *Inter folia fructus*.

Rimtas.

Bibliografia.

Rewieńska Wanda. *Bereza Kartuska, wybrane rozdziały z antropografji miasteczka*. Wilno 1934.

Jest w Wilnie mniej znana serja wydawnictw pod nazwą: *Universitas Vilnensis Batoreana. Facultus scientiarum—Dissertationes inaugurales*, gdzie jednak ogłaszane bywają ciekawe a wartościowe prace doktorantów U. S. B. W tej chwili mamy przed sobą publikację z tej serji (N 5), która zawiera przedstawioną wydz. mat.-przyr. w Wilnie pracę Wandy Rewieńskiej na stopień doktora geografji.

Autorka, pracując w grupie geologicznej prof. M. Limanowskiego w Prużańszczyźnie (z ramienia Biura Projektu Meljoracji Polesia), zetknęła się z Berezą Kartuską, która tak swą odrębnością położenia, jak przeszłością przyciąga uwagę badaczki, w następstwie zaś stała się przedmiotem jej rozprawy doktorskiej. Praca ta zdobyła autorce rzadki jeszcze u nas stopień doktora geografji i jest cennym przyczynkiem do poznania południowo-wschodnich ziem Grodzieńszczyzny.

Wyniki bliższego przestudjowania Berezy ujęte są w szereg rozdziałów. *I. Położenie Berezy Kartuskiej* omawia dolinę rz. Jasioldy, płytę Prużańską, a pokrótce i inne czynniki kształtujące konfigurację dzisiejszą terenu omawianego. *II. Rys historyczny Berezy* rzucony jest na powyższe tło przyrodnicze tego osiedla. Wyłoniwszy się z mroku dziejów w połowie w. XV, Bereza na początku w. XVIII wchodzi w magnacki dom Sapieżyński, poczem w r. 1648 staje się Berezą Kartuską. Odtąd datuje się jej wzrost, rozwój i znaczenie, trwające do kasaty klasztoru kartuzów, od kiedy zmuszona jest znowu nieść ciche życie drobnego miasteczka, któremu nie wiem, czy przysługiwał nawet tytuł *zasztatnego*.

III. Sieć komunikacyjna na zachodnim Polesiu i jej związek z historją rozwoju Berezy. Interesujący się u nas dziejami gościńców, traktatów, dróg pocztowych, pierechodów, szlaków, szos i t. d., znajdzie tu sporo skontrolowanych i współczesnych historycz-

nie wiadomości o tych tak ważnych w kraju lesistobagiennym czynnikach kultury. Słusznie to podkreśla Lucien Febvre: *Rien n'influe plus que l'histoire des routes sur les destinées des villes*.

Dalej idzie rozdział IV. *Przestrzeń życiowa Berezy*. Nieco zagadkowa ta nazwa oznacza tylko ocenę warunków terenowych Berezy pod względem osadniczym (lecz nie w sensie dzisiejszym) i rozwój terytorjalny miasteczka. Z kolei rozdział V. *Analiza planu*, gdzie badaczka wnikliwie tłumaczy anomalje w planie m. Berezy, rekonstruuje pierwotną Berezę Homskiejowską i Berezę XIX wieku. VI. *Fizjognomja miasteczka*, to malownicze ruiny b. klasztoru kartuzów, różnorodne typy budynków, ich rozmieszczenie, plan krajobrazowy itd. VII. *Demografia* omawia liczbę mieszkańców, rozmieszczenie ludności, strukturę narodowościową i wyznaniową, rozmieszczenie zawodów, ich stosunek do wyznania i mapy osadnicze.

Wreszcie *Zakończenie*, którego ostatni *passus* podajemy tu w całości: „Historyczne więzy łączyły Berezę z Wilnem. Przecież podkreślić należy, że obecnie, wskutek znacznej odległości czasowej, wpływy Wilna na terenie zachodniego Polesia zmalały. Centralistyczny rozkład kolejowy, orjentowany przede wszystkim na Warszawę, sprawia, że Bereza znajduje się w 13-to godzinnej odległości czasowej od Wilna, podczas gdy od Warszawy dzieli ją tylko 6-io godzinna odległość czasowa. W tych warunkach, jeżeli jeszcze podkreślimy szerokie możliwości kulturalne Warszawy, przerwanie historycznych nici, łączących Berezę z Wilnem, i ciążenie miasteczka w kierunku na Warszawę, stanie się zupełnie zrozumiałe”.

Nasuwa się mimowoli uwaga, że, wobec obecnego przeznaczenia Berezy Kartuskiej, Wilno nie powinno narzekać na trudności komunikacyjne z tem osiedlem. Kto wie, może dzięki nim właśnie Wilno nie skorzystało dotąd ani razu z usług obozu koncentracyjnego...

Pracę uzupełniają *Résumé, Spis literatury, tablice, blokdiagram, fotografie, i mapy*.

Gardiner.

Stankiewicz Ad. *Da historyi białaruskaj politycznaja wyzwolenia*. Wilnia 1935.

Harecki napisał dzieje literatury białoruskiej, Łastowski — dzieje książki białoruskiej, Szczekacichin — dzieje sztuki białoruskiej w zarysie, Ant. Łuckiewicz dał szkic dziejów Białoruskiej Socjalistycznej Hramady..., lecz dzieje białoruskiego wyzwolenia politycznego nie były dotychczas wcale opracowane syntetycznie. Łukę tę postanowił wypełnić Ad. Stankiewicz. Jak widać z tytułu, autor nie uważa swej pracy za monografię historyczną, lecz za próbę historycznego podejścia do interesującego go i wielu innych tematu, który już rozpiętością swego trwania, prawie przez cały wiek XIX i przeszło trzy dziesiątki bieżącego, nęcił do zrobienia obrachunku i podsumowań dziejowych.

Autor uczynił co chciał i mógł, wiedząc oczywiście zgóry, że tenże temat będzie nieraz jeszcze na warsztacie białoruskich publicystów i pisarzy. Z tem się łączy świadomość, że dzieje wyzwolenia politycznego Białorusi zechcą zapewne opracować kiedykolwiek również białoruscy eserzy, esdecy, chadecy, radykali ludowi i in. Uzupełniając, prostując jeden drugiego, dadzą w wyniku pewniejszy a bliższy prawdy obraz rzeczywistości dziejowej.

Jak się wyczuwa z przedmowy, autor posiadał tyle materiału, że starczyłoby go na tom cały. Dowodzi to, że idea odrodzenia białoruskiego przeżyła okres niemały i jest na co dziś wstecz spojrzeć. Zmusiło jednak to autora do pewnej selekcji i skrótów. Zastanawiając się nad dziejami narodu białoruskiego, uderza nas fakt, że Opatrzność zbyt często wyznaczała mu postawę bierną, pozwalając zato sąsiadom odegrywać rolę czynną, nawet mocno agresywną, posługującą się wszelkimi środkami przemocy.

Gdzieindziej Kościół i Cerkiew stanowiły punkt oparcia lub *refugium* dla bytu narodowego, Białorusinom i ta pomoc i pociecha nie były dane... Wprzognięte w rydwan polityki obcej,—wprzód dynastycznej, potem państwowej—te instytucje nie mogły dać więcej, ponad skąpo wydzielone pociechy religijne, gdy tymczasem u Polaków tenże Kościół był potężną ostoją przed germanizacją i rusyfikacją. Dlatego Kalinowski, Hryniewiecki, Hurynowicz... mieli w sobie coś z proroków i wieszczów. Ad. St. przezornie zaznacza sam, że *nie* należy rozumieć ich białoruskości tak, jak rozumiemy ją dziś, gdy treść tego pojęcia przyjęła kształty określone i dojrzałe całkiem. Pewną trudność dla dziejopisa stanowić będzie i musi szczupła ilość wiadomości o Kalinowskim i Hryniewieckim, co zawsze ułatwi sytuację krytyków i oponentów. Czytając wyjątki z listów i zeznań Kalinowskiego, rodzi się chęć ujrzenia co prędzej ich wydrukowanych w całości. Taby znacznie posunęło sprawę ustalenia fizjognomji duchowej ich autora.

Szerzej Ad. St. omawia dawny „*Homan*”, jako etap późniejszy, acz dotychczas mniej rozświetlony. Szkoda że zaginęło lub jest niedostępne dziś dla Wilna archiwum dawnej Biel. Socj. Hramady. Dla tego trudno jest silić się obecnie na odtworzenie wewnętrznego życia partji, która, spełniwszy swą rolę, odeszła w niebyt przed progiem powojennego okresu w życiu Białorusi. Dla całości trzeba było przestudjować archiwum P.P.S. aż po r. 1918. Prof. W. Iwanowski dał nowe a cenne informacje o cząsteczce białoruskiem „*Swaboda*”.

Rozdziały końcowe, to już tylko retrospekcja tego, na co pokolenie nasze patrzyło własnymi oczami. Przyczem rzecz doprowadzona została niemal do chwili bieżącej, co nie ułatwia perspektywy dziejowej. Czy też nie przedwcześnie ogłosił inż. L. Dubiejkowski posiadane listy?...

Książka napisana dobrą prozą białoruską. Od błędów korektorskich nie jest wolna nawet skądinąd dobrze pomyślana okładka! Niemało ich i w tekście.

Interesującym się ruchem białoruskim warto z tą książką się zapoznać.

Ad. Soł.

Žilėnas V. *Dėl Lietuviškos Mokyklos (1903—1914)* Vilnius 1935

Ukazanie się każdej pracy czy przyczynku historycznego, odnoszącego się do dziejów naszego kraju, należy powitać z największym uznaniem. W obszernej broszurze „Dla szkoły litewskiej” młody autor, student U. S. B., przedstawił walkę nauczycieli ludowych z caratem o szkołę narodowo-litewską. Zmagania te w pewnych momentach pchały grupę młodych zapaleńców do teroru krwawego, aby szybciej i skuteczniej wywalczyć, należne prawa dla Litwinów. Zdecydowana i śmiała walka wkońcu dała pewne dodatnie rezultaty.

Jak wynika z podanego materiału, nauczyciele ci, poza stworzeniem tajnej organizacji (Zjednoczenie nauczycieli litewskich) i prowadzeniem umiejętnej agitacji wśród ludu litewskiego, nawołującej do bojkotu szkół rosyjskich, sięgali dalej. Na jednym ze swych konspiracyjnych zebrań (w Wilnie w r. 1905) uchwalili, między innymi, żądanie wskrzeszenia uniwersytetu w Wilnie, na innych znów zebraniach była poruszana kwestja niepodległości Litwy.

Autor pracę swą oparł przeważnie na materiale archiwalnym (protokołach i odezwach tej organizacji). Materiały te spoczywają w Litew. Tow. Naukowem w Wilnie, ale, jak widać z pracy omawianej, znajdują się one w stanie chaotycznym i do tego jakaś ręka barbarzyńska mocno je przetrzebiła, chcąc widocznie coś zataić przed potomnością.

Broszura ta jest niezmiernie ciekawa, gdyż temat poruszony ogółowi prawie nie jest znany. Pracy tej można to i owo zarzucić. Przedewszystkiem nie posiada ona wyraźnej całości,—zagadnienia nie pogłębiła. Niektóre sprawy autor porusza lęklawie. Wreszcie o cichych a nieznanym bohaterach trzeba pisać krytycznie, ale jednocześnie z entuzjazmem.

V. Sak.

WYDAWNICTWA T-WA POMOCY NAUKOWEJ Im. WRÓBLEWSKICH

Michał Brensztejn. *Adam Honory Kirkor.* Wydawca, redaktor i właściciel drukarni w Wilnie od r. 1834 do 1867. Wilno, 1930.

Józef Gołąbek. *Wincenty Dunin-Marcinkiewicz.* Poeta polsko-białoruski. Wilno, 1932.

Michał Brensztejn. *Dionizy Paszkiewicz.* Pisarz polsko-litewski na Żmudzi w pierwszej połowie XIX w. Wilno, 1934.

Z. Honik. *Urząd podwojewódzkiego w Wielkim Księstwie Litewskim.* Studium historyczne. Wilno, 1935.

Marjan Zdziechowski. *Chateaubriand i Bourbonowie.* Wilno, 1934.

SPÓŁKA DUKARSKA

„KRAJ” dawn. „LUX”.
Wilno, Portowa 7, telef. 203

DRUKI PIĘKNE — ILUSTRACJE WIELOBARWNE

